

DOMINIK W.  
RETTINGER

# WIARA I TRON

---

Święty Wojciech i początki Polski

WYDAWNICTWO WAM

# I

Zanim odejdę z ziemskiego padołu na sąd Pana, przed którym drżą moje dusza i ciało, Opatrzność nakazuje mi przekazać historię najlepszego człowieka, jakiego nosiła Ziemia za mojej przytomności. Człowieka, którego oszukałem i wysłałem na pewną śmierć, nie mogłem bowiem znieść jego wielkości. Grzech straszny ciąży nad całym moim życiem i nie zmażę go tą opowieścią ani nie spróbuję ukryć potwornej prawdy. Niech moja historia służy jako przestroga dla przyszłych pokoleń. Tym wszystkim, którzy odwracają się od świętości, bo nie potrafią znieść jej blasku i siły. I tym, którzy wybierają życie bez niesienia prawdy ani poświęcenia dla chwały Boga.

\* \* \*

Kończyło się pierwsze tysiąclecie od narodzin Chrystusa i wszyscy żyjący na tym padole łez i wierzący w Stwórcę oczekiwaliśmy, że On zakończy istnienie świata i wezwie żywych i umarłych na Sąd Ostateczny. Zapowiadały to liczne znaki na niebie i ziemi.

W roku 992, pewnego ranka, gdy tylko pierwszy kur zapiał, w niemieckim kraju ukazała się na północnej stronie

światłość jasna jak w dzień, która utrzymywała się całą godzinę na tle czerwieniejącego niezwykle nieba. Byli tacy, którzy rozpowiadali, że widzieli tego roku trzy słońca, trzy księżycy i gwiazdy ze sobą walczące. Wkrótce potem umarło trzech biskupów i na kraj spadła klęska głodu.

Wydać się mogło, że tak mocne dowody i przepowiednie końca sprawią, że ludzie odczują bojaźń w sercach, zwrócą się do Boga i zaprzestaną grzeszyć. Nic bardziej mylnego, niestety. Ogarnęło nas jeszcze większe szaleństwo, jakby Zły za pozwoleniem Jedyne go poddawał swoje dzieło ostatniej próbie, aby oddzielić plewy od ziarna i ułtwić pracę Sędziogo. Jak przewidział święty Jan Apostoł w Apokalipsie: „I ujrzałem Bestię wychodzącą z morza, mającą dziesięć rogów i siedem głów, a na rogach jej dziesięć diademów, a na jej głowach imiona bluźniercze... Zatem otworzyła swe usta dla bluźnierstw przeciw Bogu, by bluźnić Jego imieniu i Jego przybytkowi, i mieszkańcom nieba”.

Nieujarzmione barbarzyńskie instynkty utajone w głębi dusz wylewały się krwawą rzeką, znikwały cnoty pokory i miłosierdzia. Nieprzerwane wojny toczone przez chrześcijańskich z nazwy tylko królów, baronów i książąt sprowadzały wielkie zniszczenia. Rzym i cała Italia rozrywane były przez walki rodów Krescencjuszów i Frascatich, którzy na zmianę zawłaszczali tron papieski, osadzając na nim małoletnich i do cna zepsutych krewniaków. Walczono na miecze i trucizny. Spowszedniały podstęp, zdrada i tortury. Piękne i zdeprawowane kobiety obu rodów uzyskały takie wpływy na losy Rzymu, że nazywano je papieżycami.

Pycha i chciwość ustanawiały papieży o małych umysłach i sercach, którzy znikali w skrytobójczych spiskach.

W całej Europie podnosiły się głosy, aby oderwać się od stolicy Piotrowej. Tak mówił Arnul, biskup Orleanu, na synodzie w Saint-Basle de Verzy: „Gdzież są Leonowie i Grzegorzowie? Czy to nasza wina, że głowa Kościoła, niegdyś stojąca tak wysoko, ukoronowana sławą i zaszczytami, upadła dziś tak nisko, zbrukana hańbą i wstydem? Wydaje się, że jesteśmy świadkami nadejścia Antychrysta, ponieważ zbliża się upadek, o którym mówi apostoł, nie upadek narodów, ale Kościoła”.

I pomyśleć tylko, że nie minęły dwa wieki, odkąd w roku 814 w Akwizgranie zamknął oczy wielki cesarz Karol, który zjednoczył pod swoim berłem ziemie Franków, Niemców i Italię i rządził razem z mądrym papieżem Leonem III, zapewniając chrześcijaństwu pokój i dobrobyt. Zaledwie zabrakło Karola, a osłabłą sporami Europę zaczęli najeżdżać okrutni wikingowie. A kiedy oni ochrzcili się w końcu i ucywilizowali, spadła jeszcze gorsza plaga – pogańskich Węgrów. Przez trzydzieści lat bezkarnie pustoszyli ziemie Niemców i Franków, zapędzali się nawet do Hiszpanii i Italii, zapewne zniszczyliby w końcu Rzym, świętą stolicę Piotra. Przerażeni i niepewni jutra ludzie porzucali uprawne pola, które zarastały lasami i zamieniały się w bagna. Nastąpiły wielkie klęski głodu, dochodziło do ludożerstwa, szerzyły się zarazy.

Wielkie było szczęście, że znalazł się w niemieckim kraju mąż charakterem dorównujący Karolowi, który zjednoczył skłóconych baronów i w 955 roku pokonał Węgrów

na Lechowym Polu. A owego króla siedem lat później papież Jan XII ukoronował na cesarza rzymskiego jako Ottona I, zwanego słusznie Wielkim. I znów wydało się, że odetchnąć mogą ludzie miłujący Boga i pokój. Ale wystarczyło, że mądry cesarz Otto przeniósł się do lepszego świata, a szaleństwo i zbrodnia od razu podniosły głowy, opanowując nie tylko świeckie serca i umysły, ale – co gorsza – i duchowieństwo.

Godności kościelne sprzedawane były za pieniądze, siejący zgorszenie księża żenili się, żeby zdobyć większą władzę i zaszczyty. Biskupi prowadzili między sobą wojny, w których odznaczali się okrucieństwem nie gorszym od pogańskich plemion. Wiedli też wystawne życie, otaczali się zbrojnymi wasalami i rozpustnymi kobietami. Tak o tym mówił synod biskupów w Trosly: „Ci księża, którzy żyją w bagnie rozpusty, mogą skrzywdzić swoim postępowaniem tych, którzy pozostali czysti, ponieważ wierni słusznie mogą powiedzieć: — Oto jacy są kapłani Kościoła!”

W tym ciemnym i smutnym wieku zaczęły się jednak zapalać i jaśnieć światełka. Z wielu miejsc dobiegały wołania o odnowę Kościoła, a mądrzy mnisi wprowadzali je w życie. Pierwsi stanęli do walki ze złem benedyktyni w opactwie Cluny, w kraju Franków. Wielcy przeorowie tego opactwa ustalili regułę, która nakazywała braciom zakonnym skupienie na modlitwie i nauce. Aby odciągnąć głowy od grzesznych myśli i czynów, benedyktyni od świtu do zmierzchu śpiewali dwieście piętnaście razy pobożne psalmy, a pozostały czas spędzali na studiowaniu ksiąg

i wspomaganiu potrzebujących, zgodnie z przykazaniem Boga: *ora et labora*, módl się i pracuj.

Powstało grono uczonych mnichów, którzy światłe idee opactwa Cluny rozprzestrzenili na chrześcijańskie kraje. Pisał wówczas z nadzieją do opata Cluny jeden z niewielu szlachejnych papieży, Benedykt VII: „Zgromadzenie, któremu przewodzisz, nie ma bardziej oddanego protektora niż Kościół rzymski, który chciałby rozpowszechnić je na całym świecie i któremu zależy na tym, by je obronić przed wszystkimi jego nieprzyjaciółmi”.

I tak odnowa Cluny dotarła do Italii, do klasztorów benedyktyńskich na Monte Cassino oraz do świętego Benedykta i Bonifacego na Awentynie. W tym drugim opatem był słynny i uczony mnich Leon, powiernik papieży i cesarzy. W tym właśnie klasztorze, za zgodą opata Leona i ku radości wszystkich braci, mieszkał człowiek, który dwukrotnie zrzucił szaty biskupie i przywdział prosty, benedyktyński habit.

Rodzice nazwali go Wojciech, co znaczyło „pociecha wojsk”. Pochodził z kraju Czechów, był ksiązęcego rodu, na bierzmowaniu otrzymał imię Adalbert. W roku 983 otrzymał w Moguncji pastorał z rąk arcybiskupa Willigisa, co potwierdził inwestyturą w Weronie sam cesarz Otto II, osadzając Adalberta na tronie biskupim w Pradze. Dzięki takim jak on ludziom światło i nadzieja zapalały się w chrześcijańskich sercach.

Opowieść moja zaczyna się sierpniowego poranka roku 996. Był to dzień Przemienienia Pańskiego, kiedy to Jezus wziął ze sobą Piotra, Jakuba i brata jego Jana, zaprowadził ich na górę wysoką, osobno, i tam przemienił się wobec nich. Twarz Zbawiciela zajaśniała jak słońce, szata była biała jak światło, ukazali się też Mojżesz i Eliasz. I dał się słyszeć głos Ojca: „To jest mój Syn umiłowany, w którym mam upodobanie, Jego słuchajcie!”, jak przekazał nam apostoł Mateusz.

Słońce wzniosło się już ponad otaczające klasztor Bonifacego i Aleksego grube mury z czerwonej cegły, kiedy brat furtian otworzył boczną bramę i mrużąc ze smutkiem błogosławieństwo, wypuścił Adalberta na ocienioną cyprysami i palmami uliczkę, która prowadziła na południowy stok, w dół awentyńskiego wzgórza, między murami męskiego klasztoru św. Saby i żeńskiego św. Balbiny.

Przechodząc między klasztorami, Adalbert pochylił przecięte długą blizną czoło i skromnie spuścił wzrok. Zdarzało się bowiem, że zza wąskich okien św. Balbiny do przechodzących benedyktynów nawoływały młode mniszki nowicjuszki i robiąc miny, drwiły z nich bez litości. Były to żarty, ale one dobrze wiedziały, że grzechem jest, kiedy ich głosy wywołują przyśpieszenie bicia serc i przypływ gorącej krwi. Śmiech nowicjuszek długo gonił potem uciekających, zawstydzonych zakonników.

Minąwszy bezpiecznie obie świątynie, Adalbert miał przed sobą via Santa Sabina, a potem płataninę dobrze mu znanych małych uliczek, które zaprowadziłyby go do

via Druso i Lateranu — celu jego wędrówki. Zawahał się jednak i zatrzymał. Miał jeszcze godzinę do wyznaczonej audiencji papieskiej, a całym sercem, wbrew rozumowi, pragnął, aby nigdy tam nie dotrzeć. Zawrócił, skręcił w via Marmorata i ruszył na północ. Przeżegnał się, mijając starożytny kościół św. Sabiny, zostawił za sobą mały klasztor Santa Maria in Avention, wreszcie zszedł ze stromej awen-tyńskiej skarpy na otoczone kamienicami *emporium*, plac miejski, na którym składowano zamorskie towary.

Od świtu kłębili się tu kupcy, przekrzykujący się we wszystkich językach świata. Stragany i bruk zastawio-  
ne były balami sukien, dywanów, wonnościami, wyrobami ze srebra i złota, naczyniami, siodłami i bronią. Panował gwar i tłok, darły się kolorowe papugi i małpy, w klatkach leżały otępiałe inne dzikie zwierzęta. Z rzecznych barek wyładowywano bez przerwy nowe towary, wychudzeni tragarze dźwigali je do wielkich magazynów na tyłach *em-  
porium*. Za nimi podążali niespuszczający wzroku ze swo-  
jej własności kupcy.

Zaraz za placem, nad brzegiem Tybru zaczynało się tar-  
gowisko Portunusa. Stoły handlarzy uginały się tu od ryb,  
mięsa, owoców i serów. W dzbanach i amforach sprzeda-  
wano oliwę, wino i piwo, w jutowych workach stało ziarno  
rozmaitych zbóż. Przekupki kłóciły się z rzymskimi miesz-  
czkami, kucharki z pałaców ładowały zakupy do wielkich  
koszy. Przez głosy ludzi przebijało się rzenie zaprzężonych  
do dwukołowych wozów koni, ryk osłów i beczenie kóz.  
Pełno było żebraków, dzieci i biegłych w opróżnianiu sakie-  
wek złodziei. Kalecy bez nóg albo rąk i inni nieszczęśnicy



blągali o wsparcie, wystawiając na widok publiczny okropne rany i wrzody. Ladacznice z jaskrawo pomalowanymi twarzami chwycaly mężczyzn za poły tunik. Uzbrojeni strażnicy przepychali się z krzykiem, łokciami i kijami robiąc miejsce dla swoich panów. Między straganami popisywali się sztukmistrze i treserzy zwierząt. Ogłuszał hałas piszczałek i bębenków. Z dybów wystawały ogolone głowy złoczyńców.

Wypłowiwały habit Adalberta odróżniał się skromnością wśród żywych błękitów, czerwieni i fioletów ubrań tłumu. Ale to przed szarym mnichem rozstępował się z szacunkiem tłum, bogaci i biedni pozdrawiali go i prosili o błogosławieństwo. Wiadomo było w całym Rzymie, że syn książęcego rodu Sławnikowiców i biskup, mnich z własnej woli, nie ustępuje nikomu w pobożności ani nauce, nawet wśród benedyktynów wyróżnia się skromnością i dobrocią.

Adalbert, odpowiadając z uśmiechem na pozdrowienia, żegnając wszystkich znakiem krzyża, wolno przeszedł przez tłum na placu. Zatrzymał się chwilę przed zbudowanym na podeście małym teatrzykiem. Widzowie z otwartymi ustami gapili się na łotrzykowską historyjkę Querolusa. Występy aktorów zakazane były od pięciu wieków, a oni obłożeni ekskomuniką, ale wesoły Rzym chronił swoich ulubieńców przed gniewem Kościoła, a przekupieni miejscy strażnicy odwracali oczy.

Słońce paliło coraz mocniej, w powietrzu unosił się kurz z zalegającej bruk słomy i końskiego nawozu. Odór ludzkiego i zwierzęcego potu mieszał się z wonią wyprawionych

skór, ciężkim zapachem kwiatów ze zboczy Awentynu i wschodnich kadzideł. Za dwie godziny sierpniowy żar stanie się niemożliwy do zniesienia, *emporium* i targowisko nad brzegiem Tybru opustoszeją, ludzie i zwierzęta będą szukać ochłody w cieniu zbudowanego na ruinach pogańskich świątyń kościoła San Nicola in Carcere i w podcieniach rotundy San Teodoro. Niektórzy schowają się pod drzewami, a pilnujący towarów kupcy pod płóciennymi daszkami straganów. Kąpiel w Tybrze ani picie z niego wody nie były możliwe, rzeka pełna była bowiem gnijących odpadków i odchodów. Na szczęście władze Rzymu wciąż naprawiały antyczne akwedukty i wszyscy mogli korzystać z krystalicznie czystej, górskiej wody z fontann.

Adalbert ruszył dalej. W miarę jak oddalał się od kłębiącego się na targowisku tłumu, wracała do niego ciężka chmura smutku. Wciąż myślał o rozkazie, który wyciągnął go tego ranka z klasztoru i kazał ruszyć do papieskiego pałacu na Lateranie. W ostatnią niedzielę arcybiskup Willigis przyjął poselstwo władcy Pragi, księcia Bolesława z rodu Przemyśla. Zaraz potem na synodzie przedstawił żądania prażan domagających się powrotu swojego biskupa. Adalbert wciąż miał w uszach gniewny głos Willigisa:

— Jest to grzech, kiedy każdy kościół jest poślubiony, a jedynie Praga jest jak wdowa, bez swojego pasterza!

Pierwszy raz uciekł z Pragi w roku 988. Na polecenie papieża wrócił tam po czterech latach spokojnego życia w klasztorze Benedykta i Aleksego. Miał wówczas nadzieję, że Czesi zrozumieli swoje błędy. Z gorzkim żalem przekonał się, jak płonne były jego marzenia o spokojnej

służbie Bogu i ludziom. Czeskie duchowieństwo nadal pławiło się w bogactwie i rozpuście. Potężni komesi okradali słabszych i gardzili prawem. Powszechny był handel zdobytymi na wojnach chrześcijańskimi niewolnikami, których za zgodą księcia Bolesława sprzedawano w Pradze mużułmańskim kupcom.

Po trzech latach nieposłuszeństwa księży i zniewag świeckich panów po raz drugi opuścił Pragę. Przekroczył znów Alpy i wiosną 995 roku zapukał do bramy klasztoru na Awentynie. Opat Leon i wszyscy bracia powitali go z wielką radością. Wydawało się, że tym razem Opatrzność pozwoli mu spędzić resztę życia na modłach oraz pracy dla Kościoła. Oddał się też swojej pasji leczenia ziołami.

Im dalej od Awentynu, tym wolniejsze stawały się jego kroki. Starał się odsunąć chwilę, kiedy znajdzie się przed obliczem papieża i usłyszy nieodwracalny wyrok. Wciąż miał nadzieję, że Grzegorz V odwróci los, zwolni go od posłuszeństwa synodowi. Tylko papież miał władzę, żeby to uczynić. Żałował, że miesiąc wcześniej wyjechać musiał do Niemiec szesnastoletni cesarz, Otto III, syn nieszczęśliwego Ottona II i wielkiej Teofano. Wstawiennictwo matki cesarza i przyjaźń Adalberta z młodym Ottonem na pewno zamknęłyby usta nieustępliwemu Willigisowi i biskupom.

Ukończył już czterdzieści lat. Z każdym rokiem czuł, że coraz bliżej mu do żywego Boga, obecnego we wszelkim stworzeniu. Podziwiał duchowe drogi świętych Benedykta z Nursji, wielkiego twórcy ich zakonu, i ascety Aleksego. Czczył męczenników, którzy oddali życie za wiarę. Dawno temu, w 988 roku, złożył benedyktyńskie ślubowanie

stałości, zachowania monastycznych obyczajów i posłuszeństwa. To oznaczało, że podda się decyzji Kościoła i wróci do Pragi. A jednak całe ciało i dusza opierały się niesprawiedliwości, a rozum podpowiadał, że żądanie prażan nie wynika z potrzeby poddania się jego pasterstwu, lecz z obrażonej dumy księcia Bolesława z rodu Przemyślidów. Wiedział, że czekają go daremne spory z duchowieństwem i możnymi. Przeczował, że tym razem nie będzie mógł porzucić Pragi. Czyżby czekała go zguba z rąk rodaków? Wzdrygnął się na tę myśl i pomimo wzrastającego upału poczuł zimny pot na plecach.

— Chociażbym szedł w dolinie śmierci, nie lękam się złego. Dla mnie życiem jest Chrystus, a śmierć zyskiem — wyszeptał żarliwie i przeżegnał się.

Szedł dalej wzdłuż brzegów Tybru. Zza gęstwiny cyprysów wyłoniła się przepyszna siedziba Krescencjuszów. Położenie ich pałacu nad Tybrem, obok portu i targowisk, pozwalało potężnemu rodowi senatorów panować nad rzymskim handlem. Znana była wrogość pomiędzy Krescencjuszem a cesarzem i papieżem. Senator wciąż mówił o wolności, lecz Rzymianie wdzięczni byli niemieckim władcom za spokój od wojen arystokratów, które pograżały Wieczne Miasto w chaosie.

Skręcił na most Janusa Quadrifronsa, zwany też żydowskim. Po prawej stronie ujrzał Wyspę Tybrową, z ruinami świątyni Eskulapa, opiekuna lekarzy. Odwiedzając chorych, nieraz widywał stojące przy łożu pacjenta figurki pogańskiego bożka. Zatrzymał się na środku mostu i długo wpatrywał w leniwy, brązowy nurt Tybru. Pod nim przepływały

pchane żerdziami pełne towarów barki. Mały zegar słoneczny na szczycie filaru wskazał godzinę dziewiątą.

Nie mógł dłużej zwlekać, z ciężkim sercem odwrócił się do słońca i ruszył na wschód. Po półgodzinie marszu, u wylotu via Druso zobaczył ocieniony palmami i cyprysami plac Laterański, z szeroką fasadą papieskiego pałacu, nad którym górowała bazylika świętego Salwatora.

Zbliżając się powoli do pałacu, zatopiony w myślach, ze wzruszeniem przywołał obraz koronacji piętnastoletniego zaledwie Ottona na cesarza rzymskiego i opiekuna Kościoła. Był piękny majowy dzień, w sali tronowej zebrały się wielkie rody Rzymu. Jakże wspaniale wyglądał młody cesarz w purpurowym, wyszywanym złotem i wysadzonym drogimi kamieniami płaszczu koronacyjnym. Jaka powaga i godność były z oblicza tego młodzieńca.

— *Divina fevente clementia Romanorum imperator semper Augustus!* — zakrzyknął herold w sali tronowej, a następní powtórzyli to wołanie na wszystkich ulicach i placach Rzymu, po włosku, niemiecku, grecku i hebrajsku: — Z Bożej łaski cesarz rzymski, po wieki August!

Z rozrzewnieniem wspominał rozmowy z Ottonem. Niepełna szesnastoletni cesarz zaskoczył go wykształceniem i mądrością. Zadawał pytania, które niejednego uczonego wprawiałyby w zakłopotanie. Dlaczego Bóg wybrał właśnie naród żydowski, żeby się objawić? I czemu tak długo zwlekał z przysłaniem Chrystusa? Jak to możliwe, że człowiek tak świątły, jak opisany przez Platona Sokrates, nie domyślił się istnienia Jedyne go Boga? Skąd brała się wielka

moralność obu tych filozofów, skoro byli poganami? A jeśli tak wiele Pitagoras wiedział o naturze rzeczy i biegu ciał niebieskich, dlaczego nie ujrzał w tych wzorach Boskiej ręki?

Adalbert pamiętał, że nauczycielem Ottona był słynny benedyktyn, Gerbert z Aurillac.

— Zapewne zadawałeś, panie, te same pytania mądrymu Gerbertowi — odpowiedział wówczas. — Co on ci rzekł?

Młody cesarz odparł z wesołym błyskiem w oku:

— Nie próbuję wystawić cię na grzech podziwiania pogańskich nauk. Obaj pamiętamy debatę twojego nauczyciela Ortryka z Magdeburga z moim Gerbertem.

— O tym, czy antyczna filozofia może być przydatna w klasztornych studiach.

Otto kiwnął głową.

— Wygrał ją Gerbert, a Ortryk wyjechał upokorzony i wściekły.

— Poznałem jego skłonność do złości na własnym grzbiecie — zgodził się Adalbert. — Ale wdzięczny mu jestem za każdy raz, którym odwracał mnie od zabaw i przymuszał do książek.

— Jak ja Gerbertowi. Choć on nie używał kija.

— Nie ośmieliłby się uderzyć wnuka Ottona Wielkiego, syna cesarza.

Roześmieli się obaj.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytania — przypomniał cesarz.

Adalbert zastanowił się chwilę, po czym rzekł, powoli dobierając słowa.

— Jak ci zapewne wiadomo, miłościwy panie, Kościół nakazuje z wielką ostrożnością podchodzić do greckich filozofów. Wynika to z takiej samej troski, jaką ty przejawiasz, pytając o ślepotę Sokratesa, Platona czy Pitagorasa na istnienie Jedynego Stwórcy. Na usprawiedliwienie Platona mogę przytoczyć jego zdanie, że wszyscy ludzie przebywają w ciemnej jaskini, z której widzą zaledwie cienie prawdziwych idei.

— Myślisz, że wyjście z tej jaskini ukazał nam Chrystus?  
Adalbert skłonił głowę z uznaniem.

— Jestem o tym przekonany, miłościwy panie.

Otto, jak zawsze gdy był zadowolony z wyniku rozmowy, klasnął z uśmiechem w ręce. Potem, udając powagę, z wesołym błyskiem w oczach przytoczył problem z *Żywotów* Plutarcha.

— Diogenes z Synopy pyta, dlaczego dajemy jałmużnę kalekom i ubogim, a nie filozofom.

Adalbert rozłożył ręce na znak, że nie zna odpowiedzi.

— Dlatego, że każdy z nas wyobraża sobie, że może stracić członki albo majątek. A nikt, że zostanie filozofem — dokończył zadowolony cesarz. — Być może dlatego twój Ortryk nie lubił filozofii.

Wiele razy podczas tych rozmów Otto wracał do wymarzonej wizji *renovatio imperium*. Na wzór Karola Wielkiego chciał oprzeć swoje państwo na trzech filarach: Italii, Galii i Germanii. Pragnął jeszcze dodać do niego Sclawonię, stworzoną z krain Czechów, Polan i Węgrów. We wszystkich tych stronach miał zapanować pokój i budowane miały być miasta, kościoły i klasztory. Chciał, by wiara i nauka

zmieniły dzikich ludzi w światłych chrześcijan, a Imperium Romanum jak w czasach antycznych zaświeciło przykładem całemu światu.

Przypomniawszy sobie ich ostatnie spotkanie, przed wyjazdem Ottona do Niemiec. Młody cesarz zwierzył się, że bardzo trudno ocenić mu ludzi, których wybiera do najbliższego otoczenia. Spytał, czy może na to znaleźć radę w Piśmie Świętym lub u antycznych filozofów.

— Miłościwy panie, charaktery ludzkie można mierzyć śladami, które w nich zostają — powiedział wtedy cesarzowi. — Nieliczni są jak kamienie, trudno na nich zrobić rysę, ale kiedy to się uda, pozostaje tam na zawsze. Inni są jak piasek. Łatwo i szybko w nich się rzeźbi, lecz byle podmuch zatrze wysiłek. Jeszcze inni jak woda, nauki przyjmują miękko i z pokorą, ale wygładzają się od razu, kiedy odwróci się od nich wzrok. Ostatni są jak powietrze. Możesz próbować w nich rzeźbić, a twoje starania znikną niezauważone.

Cesarz chwilę zastanawiał się nad jego słowami, swoim zwyczajem pochylając smukłą twarz i podpierając się dłonią. Potem westchnął ze smutkiem.

— Chodzi ci o to, żebym unikał pochlebców. Mam wybierać ludzi jak szlachetne kamienie. Trudne jest ich towarzystwo. Ale masz rację, moje serce podpowiada mi to samo, co tak mądrze ująłeś słowami.

Bazylika zwrócona była na wschód, do Jerozolimy. O tej porze jej fasada zalana była słońcem. Laterański pałac rzucał krótki cień, siedzieli w nim na kamiennych ławach



i spacerowali rzymscy arystokraci i duchowni, czekający na posłuchanie u Grzegorza. Na środku placu obok fontanny wznosił się konny posąg przeniesiony rozkazem wielkiego papieża Sergiusza z ruin Forum Romanum. Przedstawiał cesarza Konstantyna, którego dekretem wiara chrześcijańska uznana została za jedyną prawdziwą. Był symbolem władzy i dlatego stawiano przy nim szafot i wieszano za szyję zbrodniarzy. Z resztek starego złota pokrywającego pomnik przesądni wróżyli o trwaniu Rzymu i świata. Ponoć odczytano już, prorokowane w Apokalipsie, oznaki zbliżającego się nieubłagania Sądu Ostatecznego: „I ujrzałem: oto koń trupi blady, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otchłan mu towarzyszyła. I dano im władzę nad czwartą częścią ziemi, by zabijali mieczem i głodem, i morem, i przez dzikie zwierzęta... Niebo zostało usunięte jak księga, którą się zwija... A królowie ziemscy, wielmoże i wodzowie, bogacze i możni, i każdy niewolnik i wolny ukryli się do jaskiń, i mówią do górskich skał: padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem Zasiadającego na tronie”

Adalbert wdrygnął się na tę wizję świętego Jana. Minął posąg, odpowiedział skinieniem głowy na pozdrowienia duchownych, którzy na jego widok przerwali rozmowę. Znali wyrok synodu w sprawie biskupa uciekiniera, mówił o tym ich zaciekawiony wzrok. Zbliżył się do szerokich wrót pałacu, przed którymi stali potężnie zbudowani germańscy strażnicy. Mimo posrebrzanych zbroi i hełmów z papieskim godłem wyglądali prymitywnie i nieprzyjaźnie. Uzbrojeni w długie miecze patrzyli z pogardą na czekających na placu Rzymian. Ich obecność i postawa wyrażały

nieufność niemieckiego papieża do rzymskich intryg i podstępów. Wiadomo też było, że w kwaterach i stajniach pałacu czeka stu ciężkozbrojnych jeźdźców, w każdej chwili gotowych dosiąść koni i stanąć w obronie papieża. A gdyby to nie wystarczyło, z przylegających do Lateranu Aureliańskich murów widać było rozbite na polach namioty pułku germańskiej piechoty.

Dowódca straży wolnym krokiem podszedł do Adalberta. Jego miękkie, skórzane buty w zetknięciu z brukiem nie wydawały dźwięku, cicho chrzęściła kolczuga z żelaznych kółek, ocierająca się o pozłocaną blachę napierśnika.

— Brat Adalbert do jego świątobliwości — powiedział mnich, patrząc prosto w jego niebieskie oczy.

Wzrok Niemca złagodniał, kiwnął wielką głową i wskazując na wrota, odrzekł z twardym akcentem:

— Wiem, kim jesteś. Wchodź.

## II

Młody ksiądz w wełnianej, obszytej purpurowym jedwabiem tunice poprowadził Adalberta długim korytarzem. Skośne smugi słonecznego światła wpadały przez wąskie okna, rysowały jasne plamy na kamiennej posadzce z płyt piaskowca. Za otwartymi drzwiami widać było wykładane wschodnimi dywanami komnaty, z dziedzińca dobiegał stuk kopyt, rżenie koni i donośne okrzyki. Za oknami galopowali jeźdźcy, którzy ścinali mieczami albo przebijali włóczniami słomiane kukły. Germański pułk papieskiej jazdy zajęty był porannymi ćwiczeniami.

Ksiądz miał jakieś siedemnaście lat, jego delikatne rysy świadczyły o pochodzeniu z wysokiego rodu. Przejęty był rolą przewodnika, szeptem objaśniał przeznaczenie mijanych komnat i nazwiska zamieszkujących je dostojników. Zatrzymał się na końcu korytarza i pokazując na wysokie schody, wyszeptał:

— Scala Santa, dwadzieścia osiem stopni. Po tych schodach szedł nasz Pan Jezus Chrystus na sąd w pałacu Poncjusza Piłata.

— Wiem — przytaknął Adalbert.

Ksiądz kiwnął głową z upartą miną dziecka, które nie pozwoli odebrać sobie przyjemności popisania się uczonością.

— Przywiozła je z Jerozolimy w trzysta dwudziestym szóstym roku cesarzowa Helena, matka cesarza Konstantyna. Każdy stopień jest błogosławiony i wielu chorych zostało cudownie uzdrowionych, kiedy po nich wchodziłi.

Powiedziawszy to, czekał na podziw gościa. Adalbert uśmiechnął się wyrozumiale.

— Jak masz na imię?

— Na chrzcie nadano mi Jan, na cześć apostoła. Pochodzę z rodu Flawiuszu — oświadczył z dumą ksiądz.

— Prowadź, Janie Flawiuszu. Wchodźmy po tych schodach, myśląc o wszystkich chorych Rzymu, którym nie dane jest wypróbować ich mocy.

Ksiądz spojrział na Adalberta z lekkim popłochem, jego młodzieńcza pewność siebie znikła.

— Jakby to było, gdyby hołota z ulic deptała święte schody — wyszeptał z niesmakiem.

— Ucieszyłby się Chrystus w niebiesiech — odparł Adalbert i delikatnie popchnął go w stronę schodów.

Powoli pokonali dwadzieścia osiem stopni. Ksiądz mruzczał po cichu modlitwę, zmazując nią zuchwałość gościa. Na szczycie schodów zaczynał się krótki korytarz, który rozwidlał się przed podwójnymi drzwiami. Po bokach stali uzbrojeni w miecze i długie włócznie gwardziści. Zza drzwi dobiegały stłumione dźwięki muzyki.

Ksiądz wyszeptał coś do jednego z gwardzistów, potem uklonił się Adalbertowi i bez słowa zawrócił na schody. Gwardzista otworzył jedno skrzydło drzwi. Stojący na progu majordomus w błękitnej tunice i płaskim kapeluszu odwrócił się z pytaniem w oczach. Gwardzista cichym

głosem powtórzył wiadomość od księdza. Majordomus gestem ręki nakazał Adalbertowi zaczekać.

Wysoki sufit sali zdobiły kasetony z wyrzeźbionymi roślinnymi wzorami. Przez szerokie okna podzielone filarami wpadało dużo światła. Kamienna posadzka pokryta była wschodnimi dywanami. Pod ścianami stały długie stoły z krzesłami o rzeźbionych oparciach. W głębi, na pokrytym brokatem podwyższeniu, dominował nad wszystkim złożony tron. Strzegły go figury aniołów z mieczami, na ścianie z tyłu błyszczał wielki, złoty krzyż.

Pod jednym z okien czterej muzycy przygrywali na lutni, tamburynie i fujarkach. Pośrodku komnaty poruszały się z wdziękiem dwie kobiety przebrane w stroje wojowników. Z krótkimi sztyletami w dłoniach podchodziły do siebie tanecznym krokiem i udawały walkę. Po obu stronach sali, stojąc lub siedząc, przyglądali się tańcowi duchowni i świeccy dostojnicy. Rzymianie i Niemcy, starzy i młodzi kardynałowie, biskupi, prałaci, książęta i baronowie. Między nimi widać było strojne rzymskie arystokratki oraz skromne przełożone żeńskich klasztorów. Starsi widzowie sprawiali wrażenie zgorszonych występem, młodszy oglądali go z zaciekawieniem i rozbawieniem.

Blisko tancerek stał wysoki młodzieniec w długiej, białej szacie z jedwabiu i krótkiej, purpurowej pelerynie. Na jego piersi wisiał złoty, przyozdobiony szlachetnymi kamieniami łaciński krzyż z symbolizującym serce Chrystusa rubinem pośrodku. Jasne włosy papieża Grzegorza wysypywały się spod białej, obramowanej złotem czapeczki. Szeroka twarz z wydatnym nosem i mocną szczęką mówiła

o władczym charakterze, głęboko osadzone oczy błyszcząły z ciekawości. Patrząc na tańczące i wymierzające ciosy kobiety, uśmiechał się i klaskał w dłonie.

Nagle jedna z tancerek szybkim ruchem zbliżyła się do przeciwniczki i pchnęła ją sztyletem w serce. Trafiona chwyciła się oburącz za pierś i upadła na posadzkę. Z rany wypłynęła na dywan jasna krew. Papież cofnął się zaskoczony. Wśród zebranych rozległy się okrzyki przestrachu i zgorzienia. Spod ścian poderwali się czterej gwardziści, z groźnymi minami ruszając w stronę tancerek. Kapela przycichła. Jeden z młodych rzymskich książąt zbliżył się do papieża i szepnął mu coś na ucho.

Grzegorz przytaknął z uśmiechem, gestem ręki powstrzymał gwardzistów. Rozległa się znów muzyka. Kobieta, która zadała śmiertelny cios, zaczęła znów tańczyć. Powolnymi krokami obchodziła pokonaną przeciwniczkę, ukłonami i dwornymi gestami rąk wyrażała radość ze zwycięstwa. Potem zatrzymała się nad leżącą, przytknęła do swojego brzucha ostrze sztyletu i wbiła go. Trysnęła krew, tancerka zachwiała się z wyrazem bólesci na twarzy i upadła na leżącą kobietę. Muzyka urwała się z przeciągłą skargą lutni.

Okrzyki protestów i oburzenia zabrzmiały jeszcze głośniej. Starsi duchowni mieli dość barbarzyńskiego pokazu, ich głosy podniosły się gniewnym gwarem. Papież uciszył wszystkich podniesioną ręką, potem pochylił się ze skupieniem nad kobietami. Przyjrzał się im z bliska, wyprostował się i roześmiał. W tym samym momencie obie tancerki poderwały się zgrabnie na nogi i wykonały głęboki ukłon

w stronę Grzegorza, potem zaś pozostałych widzów. Młodzi duchowni i świeccy nagrodzili je śmiechem i oklaskami. Kobiety zwinęły poplamiony czerwonym barwnikiem dywanik i wybiegły z sali. Za nimi podążyli członkowie kapeli.

Papież odprowadził rozbawionym spojrzeniem tancerki i muzyków. Jego wzrok padł na czekającego zakonnika. Skinął do niego głową. Adalbert podszedł, ukląkł przed Grzegorzem, pocałował czerwony krzyż na jedwabnym bucie papieża, kolano, wreszcie pierścień Rybaka na palcu. Papież podniósł go, z młodzieńczą serdecznością przycisnął do piersi. Potem ujął jego dłoń i poprowadził przez salę, pomiędzy rzędami rozstępujących się dworzan i duchownych.

— Jak ci się podobał taniec *pyrchichios*? — zapytał z uśmiechem. — Trochę zaskakujący, musisz przyznać.

— Tak, wasza świętość — odparł Adalbert. — Ale po stroju i uzbrojeniu tancerek domyśliłem się, że to starożytny rytuał Greków. Homer pisze, że tak tańczył Achilles wokół mar przyjaciela Patroklesa. W Grecji tańczyły go kobiety, udając prawdziwą walkę i budząc grozę widzów.

Grzegorz wykonał szeroki gest pod adresem zebranych.

— No proszę. Poza księciem Semproniuszem, któremu daliśmy się namówić na ten występ, tylko brat Adalbert jest dość wykształcony, aby nie dać się zaskoczyć.

Spomiędzy duchownych wysunął się stary mężczyzna w ciężkiej, wyszywanej złotem i purpurą kapie. Otworzył usta, ale Grzegorz gestem nakazał mu milczenie.

— Nie mamy ochoty słuchać twoich napomnień, arcybiskupie Willigisie. Dobrze wiemy, co się godzi, a co nie

papieżowi. Nie praw nam kazań. Na dworach twoich księży widzieliśmy kobiety, które zabawiały się mniej przystojnie od tych tancerek. Weź przykład z Adalberta, zacznij studiować starożytne zwyczaje i filozofię. Więcej z nich wynika pożytecznych nauk niż z niejednego waszego kazania.

Willigis skłonił głowę z wyrazem wymuszonego posłuszeństwa, ale przez jego ascetyczną, pooraną zmarszczkami twarz przebiegł skurcz gniewu.

— Nie o tym chciałem mówić, wasza świętobliwość.

— A o czym to, arcybiskupie? — zapytał Grzegorz, siadając na tronie.

Ręką pokazał Adalbertowi miejsce na drewnianym zydłu obok. Tym gestem dawał do zrozumienia, że wyróżnia zakonnik i bierze pod swoją opiekę. Willigis spochmurniał jeszcze bardziej.

— Wiadomo nam, w jakim celu zjawił się tu biskup Adalbert. Zechce prosić waszą świętobliwość o pozostawienie go w klasztorze Bonifacego i Aleksego na Awentynie. Podoba mu się uchylać od obowiązków pasterza, nie dba o porzuconą trzodę. Grzeszy samowolą i pychą. Bardzo prosimy, Ojczy Świąty, o niezmiennianie wyroku synodu.

Grzegorz milczał chwilę, dając do zrozumienia Willigisowi, że jego przemowa nie była mile widziana. Potem odwrócił się do Adalberta.

— Co na to odpowiesz?

Adalbert zsunął się z zydła i uklęknął przed papieżem.

— Nie życzyli sobie prażanie mojego pasterstwa. Modlitwą i kontemplacją w klasztorze pragnę służyć Bogu i pracować nad zbawieniem swojej duszy.



Willigis podszedł bliżej.

— Co powinien wybrać dobry chrześcijanin? — zapytał surowym tonem. — Poświęcenie dla bliźnich, aby pomóc w ich zbawieniu, czy pracę nad sobą, życie kontemplacyjne, by przybliżyć swoje zbawienie?

Adalbert mówił dalej do Grzegorza.

— Poprzez pracę nad sobą należy osiągnąć taką doskonałość, aby być gotowym pomagać innym.

Papież ukrył uśmiech, pogroził mu palcem.

— Wydaje nam się, że uchylasz się od odpowiedzi.

— No właśnie, wasza świętobliwość — podchwycił Willigis. — A co jeśli nie można zbawić siebie i innych? Jeśli trzeba wybierać: ja albo inni?

— Wtedy najważniejsze jest życie w prawdzie i w zgodzie ze sobą — odparł Adalbert. — Bez własnej prawdy nie można głosić prawdy Chrystusa.

— A jeśli Chrystus nie pozwoli ci czekać? — pytał dalej napastliwym tonem arcybiskup. — Jeśli każe działać natchmiaszt, dziś?

— Moja dusza przyciągana jest do Boga, więc moja wola nie może zbłądzić.

Wśród ksiąząt Kościoła rozległ się szmer zgorszonych głosów, ale Grzegorz klasnął zadowolony na znak, że spodobała mu się odpowiedź Adalberta. Rzymski kardynał Frascati zrobił krok do przodu. Miał pięćdziesiąt lat, miękkie rysy, spod jego kardynalskiej czapeczki wysuwały się ufryzowane loki, szata i pierścienie na palcach błyszcząły drogimi kamieniami. Mówił wolno, z lekkim uśmiechem wyższości.

— Śmiało powiedziane, biskupie. Można by to uznać za bluźnierstwo. Wiemy, że przytoczyłeś słowa świętego Augustyna. Wszyscy tu obecni jesteśmy jego uczniami, znamy ideę predestynacji. Bóg wyznacza ludzi szlachetnych, odrzuca nikczemnych. Nikt z nas jednak nie odważyłby się stwierdzić, że zna jego wyrok co do swojej osoby.

Adalbert skinął w milczeniu głową. Frascati mówił dalej.

— Augustyn nauczał też o posłuszeństwie. I pokorze. Jeśli Ojciec Święty każe ci wracać, nie będziesz chyba protestował, prawda?

— Z pokorą przyjmę wyrok jego świętobliwości.

Kardynał otworzył znów usta, lecz Grzegorz powstrzymał go niecierpliwym gestem, po czym zwrócił się do zakonnika.

— Gotowi jesteśmy wysłuchać twojej woli — powiedział przychylnym tonem.

Adalbert nabrał głębiej powietrza, jego twarz pobladła.

— Pozwól mi, Ojczy Świąty, pozostać w domu Bonifacego i Aleksego. Jako zwykły mnich służyć będę Bogu i ludziom.

Willigis podszedł jeszcze bliżej, jego głos był pokorny, ale nabrzmiały gniewem.

— Wasza świętobliwość... Praga jest lennem cesarskim, żąda jego powrotu. Cesarz przychyliła się do prośby praskiego księcia Bolesława. Suweren musi spełnić słuszne żądanie lennika. *Dura lex*. Biskup Adalbert drugi raz już porzucił swoje owieczki. Za pierwszym pozwoliliśmy mu cztery lata pozostać w klasztorze. Wrócił w końcu do Pragi, ale nie wierzymy, że uczynił to z prawdziwą intencją służenia

wiernym, bo po trzech latach znów uciekł. Święty synod postanowił położyć kres jego samowoli. Pokornie błagamy waszą świątobliwość o potwierdzenie tego wyroku.

Zapadła cisza. Grzegorz przesunął wzrokiem po zebranych. Twarze młodszych duchownych i świeckich mówiły o nudzie. Starsi kardynałowie i biskupi patrzyli na Adalberta z gniewem. Wielu z nich wzięło udział w synodzie, który nakazał uciekinierowi powrót do Pragi, stawką była więc ich władza sądenia i decydowania o Kościele. Gdyby młody papież zmienił decyzję synodu, byłoby to wypowiedzeniem wojny rzymskiemu duchowieństwu. Za ledwie trzy miesiące minęły od dnia, w którym cesarz Otton zmusił cały Kościół do posłuszeństwa, osadzając na tronie papieskim dwudziestoczteroletniego Brunona, swojego kapelana i kuzyna, wnuka Ottona Wielkiego. Nikt w Rzymie nie ośmielił się sprzeciwić woli potężnego cesarza Niemca. Ale były granice, których wybrany w ten sposób Namiestnik Piotrowy nie powinien przekraczać. Zdawał sobie z tego sprawę Willigis, arcybiskup Moguncji. Wiedział też o tym sam Grzegorz v. Ciszę przerwał wreszcie jego spokojny głos.

— Wszyscy marzymy o życiu w ciszy i kontemplacji.

Willigis pojął, że słabnie wola papieża, by chronić Adalberta.

— Cesarz z pewnością przychylił się do powrotu biskupa — powiedział z naciskiem.

Grzegorz spojrzał na arcybiskupa z irytacją. Położył dłoń na głowie Adalberta. Jego głos był stanowczy, choć zaprawiony smutkiem.

— *Servus servorum Dei*<sup>\*</sup>, my, z woli Boskiej Namiestnik Piotrowy, przyznajemy słuszność świętemu synodowi i nakazujemy ci powrót do twojej diecezji.

— *Roma locuta, causa finita*<sup>\*\*</sup> — rzucił z satysfakcją Willigis.

Grzegorz przeżegnał zakonnika znakiem krzyża, potem wyciągnął do niego dłoń. Adalbert ucałował pierścień i wstał. Przez chwilę patrzyli na siebie z bliska. Wzrok papieża mówił: wybacz i zrozum, nie mogę się sprzeciwić. Adalbert ze smutkiem skinął głową, zszedł tyłem z podwyższenia i zatrzymał się obok Willigisa.

— Oczekujemy, że niezwłocznie ruszysz w drogę — powiedział arcybiskup.

— Ojczy Święty, zezwól proszę, aby w drodze do Pragi wolno było mi odwiedzić przybytki świętego Marcina, świętego Dionizego, świętego Benedykta i świętego Maura — poprosił Adalbert cichym głosem.

— To bezczelne żądanie! I wykręć! — wykrzyknął, tracąc nad sobą panowanie, Willigis. Z poczerwieniałą z gniewu twarzą zwrócił się do papieża. — Wszyscy wiemy, wasza świątobliwość, że te przybytki znajdują się w kraju Franków! W Tours, w Saint Denis pod Paryżem, we Fleury i w Saint Maur. To nie jest droga do Pragi! Jak długo zamierza biskup Adalbert zwlekać z powrotem? Może cały rok! W jakim celu chce tak zwlekać?

---

\* Sługa sług Bożych.

\*\* Rzym przemówił, sprawa zakończona.

Grzegorz zareagował na gniewną perorę arcybiskupa niecierpliwym westchnieniem, potem spojrział pytająco na Adalberta. Pomimo poważnego wyrazu twarzy wyczuć można było, że papieża bawi upokorzenie Willigisa.

— Pragnę modlić się u grobów tych świętych o natchnienie i wsparcie mojej błędzącej duszy — rzekł spokojnym głosem Adalbert. — Mam nadzieję, że moje błagania skierowane ze świętych miejsc trafią do tronu Pana i zmiękczą serca prażan. Co do długości wędrówki... — zamilknął i zawahał się. — Godzi się, abym odbył ją pieszo. Myślę, że za trzy, najwyżej cztery miesiące dotrę do Pragi.

Twarcz arcybiskupa pociemniała jeszcze bardziej. Grzegorz podniósł dłoń i ukrywając uśmiech, potarł górną wargę.

— Podoba nam się twoja pobożność, bracie Adalbercie. Zgadamy się z wybraną przez ciebie drogą. Pomódl się i za nas, niech święci męczennicy zaniosą twoje słowa do Najwyższego.

Wszyscy zauważyli, że w przeciwieństwie do Willigisa papież nadal zwracał się do Adalberta jak do mnicha, nie biskupa. Zamilkł na chwilę, po czym zaczął znów mówić tonem suwerena, który oznajmia swoją wolę:

— A jeśli Praga nie przyjmie cię z pokorą i uznasz, że nie zechcą prażanie słuchać woli Chrystusa, zezwalam, abys ponownie opuścił niewdzięczną owczarnię i wybrał miejsce, w którym zechcesz służyć naszemu Panu.

Zebrani zareagowali na to szmerem zaskoczenia. Papież podtrzymał wolę synodu i od razu zwalniał z niej

Adalberta. Wystarczyło teraz, aby władca Pragi lub jego poddani sprzeciwili się biskupowi, a na zawsze zwolniliby go z pasterskiego obowiązku. Było to mistrzowskie posunięcie Grzegorza. Nikt z dostojników Kościoła nie mógł zarzucić papieżowi lekceważenia synodu.

Adalbert skłonił nisko głowę. On jeden wiedział w tej chwili, że nigdy nie skorzysta z drogi, którą otwierał przed nim papież. Nie byłoby godnym wyjściem szukać powodów do następnej ucieczki, skarżyć się na wiernych i unikać odpowiedzialności. Nie było dla niego powrotu, tylko śmierć mogła zwolnić go z tego zadania.

Wyczytał to z jego oczu wytrawny znawca ludzkich dusz arcybiskup Willigis i jego spojrzenie skierowane na Adalberta złagodniało.

— Błogosławimy cię, biskupie, na twoją drogę i służbę — powiedział i uczynił w powietrzu znak krzyża.

Adalbert uklonił się nisko i zaczął się cofać w stronę wyjścia z sali. Zgodnie z protokołem mógł się odwrócić od papieża dopiero w progu. Kiedy tam dotarł, otworzyły się drzwi i majordomus donośnie zaanonsował:

— Benedykt, kapelan i wysłannik księcia Polan, Bolesława z Gniezna!

Do sali weszli dwaj służący, dźwigając z wysiłkiem okutą żelazem skrzynię. Za nimi stąpał trzydziestoparoletni ksiądz w bogatej szacie podbitej futrem i wyszywanej złotogłównem. Jego okrągła twarz mówiła o zamiłowaniu do obfitego jedzenia i trunków, wąskie usta i inteligentne spojrzenie — o ambitnym charakterze. Pocił się obficie z upału i zdenerwowania, ale patrzył badawczo dookoła i starał

się wyglądać na pewnego siebie. Majordomus zatrzymał go i powiedział cicho:

— Przed jego świątobliwością na kolana.

Służący postawili skrzynię pośrodku sali i czekali onieśmieleni widokiem papieża i tyłu możnych. Ksiądz podszedł do skrzyni, otworzył ją i ze schyloną głową uklęknął obok. Promienie słońca odbiły się od złota i drogich kamieni, kolorowy blask rozjaśnił salę, a także twarze książąt Kościoła i arystokratów. Lekkie westchnienie przebiegło przez salę. Papież czekał w milczeniu, on jeden sprawiał wrażenie niezainteresowanego skarbem.

Kardynał Frascati zbliżył się do skrzyni, podniósł ciężki łańcuch ze złota, zważył go w rękę i wrzucił z powrotem do środka. Następnie chwycił wieko i zatrzasnął skrzynię. Blask na ścianach i suficie zgasł, zebrani poruszyli się jak obudzeni ze snu. Kardynał zwrócił się do klęczącego księdza.

— Ojciec Święty dziękuje polskiemu księciu za dary. To, co zrabowane zostało Sasom, oddane zostanie prawowitym właścicielom. Masz powiedzieć Bolesławowi, że jeśli nie przestanie zagrażać naszym braciom, zwróci się przeciw niemu cesarska i papieska potęga. Rozumiesz?

Ksiądz Benedykt był zdumiony i przestraszony, sprawiał wrażenie, jakby nie docierał do niego sens słów kardynała. Patrzył z niedowierzaniem na skrzynię, którą na znak Frascatiego chwycili i wynieśli służący. Z nadzieją przeniósł wzrok na papieża, od niego oczekując wybawienia.

— Wasza świątobliwość... — wymamrotał, szukając w panice słów. — Księcia Polan, wielkiego Bolesława, sam cesarz uważa za przyjaciela...

Grzegorz był znudzony, krótkim gestem ręki dał znać, że nie życzy sobie rozmowy z przybyszem. Frascati zatrzymał się przed Benedyktem, mówiąc z wzrastającą irytacją.

— Tej świętokradczej i bluźnierczej prośbie mówimy, że korony królewskie rozdaje Bóg w niebiosach. A kto jej żąda lub próbuje ją kupić, jak polski książę Bolesław, ten zasługuje na wieczny ogień. Tak jak i ten, kto tę bezczelność przynosi! Możemy też pomóc ci zbawić duszę ziemskim ogniem.

Benedykt z jękiem upadł na twarz, jego głowa znalazła się przy stopach kardynała. Przez chwilę wydawało się, że zacznie całować jego buty. Frascati odsunął się z obrzydzeniem.

— Patrycjusz Bolesław wie, że koronę może mu włożyć tylko Ojciec Święty albo arcybiskup. Jego świątobliwość właśnie ciężko się obraził. A Gniezno nie jest i nie będzie metropolią. Wasz pasterz i arcybiskup urzęduje w Magdeburgu, niech jego książę prosi o wstawiennictwo u Boga. Po tym jak mu morduje ludzi i wykrada skarby, na pewno znajdzie posłuchanie!

Benedykt nie ośmielił się ruszyć. Kardynał czekał chwilę, potem rozejrzał się z uśmiechem.

— Wymownego posłańca przysłał polski książę. Nie ma wśród Polan człowieka, który potrafiłby po ludzku mówić?

— Jestem Niemcem, panie — wyjęczał Benedykt. — Pochodzę z Magdeburga.

— No to sprzedałeś się na służbę barbarzyńcy — stwierdził spokojnie Frascati. — Wracaj do swojego pana, prze-



## SPIS ROZDZIAŁÓW

I	str.	7	XXIII	str.	276
II	str.	24	XXIV	str.	281
III	str.	39	XXV	str.	288
IV	str.	51	XXVI	str.	300
V	str.	56	XXVII	str.	307
VI	str.	73	XXVIII	str.	315
VII	str.	87	XXIX	str.	322
VIII	str.	102	XXX	str.	330
IX	str.	109	XXXI	str.	342
X	str.	120	XXXII	str.	348
XI	str.	138	XXXIII	str.	353
XII	str.	150	XXXIV	str.	360
XIII	str.	171	XXXV	str.	364
XIV	str.	179	XXXVI	str.	371
XV	str.	190	XXXVII	str.	382
XVI	str.	202	XXXVIII	str.	389
XVII	str.	217	XXXIX	str.	401
XVIII	str.	231	XL	str.	410
XIX	str.	241	XLI	str.	429
XX	str.	246	XLII	str.	436
XXI	str.	252	XLIII	str.	453
XXII	str.	271	EPILOG	str.	456